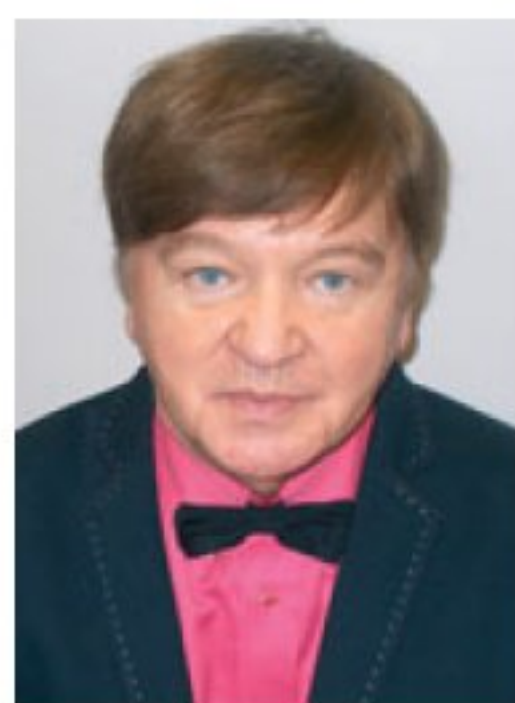




**SALONOWE
BURZE**

**BOHDANA
GADOWSKIEGO**

Jest obecnie aktorem najczęściej angażowanym do polskich filmów. Ostatnio zagrał w dziewięciu produkcjach. Tylko na Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni pokazano aż cztery filmy z jego udziałem, wśród nich „Bogowie” (rola asystenta profesora Religi). Inne tytuły to: „Wkręcenie”, „Warsaw by night”, „Obywatel”, „Karski”, „Hiszpanka”, „Ziarno prawdy”, „Disco polo”, „7 rzeczy, których nie wiecie o facetach”, „Planeta singli”, „Słaba płeć”, „Marie Curie”, „Król życia”, „Anatomia zła”, „11 minut”, „Karbala”, „Sąsiedzi”. Laureat m.in. nagród aktorskich na Festiwalu Filmowym „Drzwi” w Gliwicach i nagrody specjalnej 26. edycji Tarnowskiej Nagrody Filmowej za rolę w filmie „80 milionów”. Inne nagrody to: Złota Karetka, Złoty Anioł, Gwiazda Jutra, Jantar, Nagroda Orła za najlepszą rolę drugoplanową w filmie „Bogowie” i prestiżowa Nagroda im. Zbigniewa Cybulskiego za rolę w filmie „Dziewczyna z szafy”.

– Dlaczego najpierw wybrał pan studia prawnicze, a nie aktorskie?

– Ponieważ komisja egzaminacyjna Wydziału Prawa i Administracji toruńskiego UMK zareagowała pozytywnie na mój egzamin, w odróżnieniu od komisji Wydziału Aktorskiego Warszawskiej Akademii Teatralnej.

– Wnioskować można, że nie poznała się na kandydacie na aktora...

– Rzeczywistość w swojej jedyności jest sprawiedliwa. Wtedy albo szkoła nie była jeszcze na mnie gotowa, albo ja potrzebowałem przeżyć coś więcej. Finałem starań o przyjęcie w poczet studentów prawa był egzamin ustny, spotkanie oko w oko z przyszłymi wykładowcami, które miało pokazać wysoki poziom wiedzy historycznej kandydata, ale przede wszystkim umiejętność spontanicznego formułowania wypowiedzi i przekonującego komunikowania ich w sytuacji wysokiego stresu. Powodzenie w tym spotkaniu było w moim wypadku decydujące w dwójnasób – zostałem adeptem sztuki prawniczej i odnalazłem połączenie z aktorstwem. Każdy następny zdany egzamin ustny, dyskusja na ćwiczeniach czy wygłoszony referat dawały mi wiarę w przyszły sukces na egzaminach wstępnych do szkoły teatralnej.

Muszę być na sto procent

Rozmowa z PIOTREM GŁOWACKIM, aktorem filmowym



Fot. Krzysztof Kuczyk/Forum

– Jak długo zastanawiano się w uczelniach artystycznych nad pana przypadkiem?

– Cztery lata. Zastanawiali się uczelnie w Warszawie, Krakowie, Łodzi i Wrocławiu.

– Pamięta pan, kto zasiadał w tych komisjach?

– Skupię się na jednej osobie, której zawdzięczam przełom. Po raz pierwszy podszedłem do egzaminu w 1998 roku w Warszawie, a dostałem się do Akademii w 2002. Za pierwszym razem i cztery lata później, kiedy się udało, przyjmował i przewodniczył obradom profesor Jan Englert. W obu podejściach mówiłem te same teksty, komisja była w tym samym składzie, a egzamin prowadził ten sam wykładowca. Niby wszystko takie samo, a efekt diametralnie różny. Taki jest teatr. Powtarzalny i nieprzewidywalny... Jak życie. Przez cztery lata starań, poza prawem pojawiło się jeszcze Studio Aktorskie w Olsztynie. Potem w trakcie studiów w Akademii zdarzyła się przygoda z warszawskim Teatrem Rozmaitości i projektem „Teren Warszawa”, do którego zaangażował mnie Grzegorz Jarzyna. W tym czasie zacząłem grać w filmach i łącznie pracy ze studiami okazało się dla

władz Akademii Teatralnej niemożliwe. Aby kontynuować studia, podjąłem je w krakowskiej PWST, do której przyjął mnie Krzysztof Globisz, i tam cztery lata temu obroniłem tytuł magistra.

– Ciekaw jestem, co teraz myśł o panu ci, którzy kwestionowali pana talent na początku drogi?

– Bardzo szybko pożegnałem się ze słowem „talent”, które moim zdaniem utrudnia pracę, rozleniwiając, odwraca uwagę od istoty zadania, a skupia na sobie. Preferuję mówienie o predyspozycjach do uprawiania każdego z zawodów. Ujawniają się one na różnych etapach życia i pracy, zależnie od osobowości i okoliczności. Widocznie u mnie proces równoważenia się cech niezbędnych do uprawiania zawodu aktora musiał potrwać.

– Dlaczego nie wierzy pan w talent?

– Bo zbyt wielu ludziom złamano życie, ogłaszając, że go mają, że właśnie go stracili lub że nigdy go nie mieli.

– Co dałby pan w zamian słowa talent?

– Zbiór predyspozycji psychofizycznych, które nie zostały zamknięte na etapie wychowania i edukacji,

a które ułatwiają wykonywanie jakiejś czynności.

– Wybrał pan Teatr Rozmaitości i Grzegorza Jarzynę. Co pana zaintrygowało?

– Grzegorz zabrał mnie na pokład niezbyt dużego, ale najnowocześniejszego katamarana wśród polskich teatrów, którym bez strachu wpływa na nieznane wody. Pływanie z odkrywcami uczy odwagi w wyznaczaniu celów, rzetelności w przygotowaniach i przyjemności podróży.

– Był pan w nim tylko pięć lat. Dlaczego?

– Nie jestem już etatowym pracownikiem, ale nadal współpracuję z Teatrem Rozmaitości, moja ostatnia praca teatralna to „Męczennicy” w reżyserii Grzegorza. Po pięciu fantastycznych latach poczułem potrzebę zmiany, przeszedłem więc do Starego Teatru w Krakowie.

– Jaką rolę dostał pan w tym teatrze na początek?

– Już wcześniej zagrałem tam swoją dyplomową rolę Orestesa w „Orestei” Jana Klaty. To bardzo ważny dla mnie spektakl, i – co bardzo przyjemne – do tej pory żywo odbierany przez publiczność.

– Ten teatr zbiera obecnie krytyczne opinie...

– I ma wiecznie pełną widownię.

– Jakie role jeszcze zagrał pan w Starym Teatrze?

– Zagrałem Ośła w „Śnie nocy letniej” Mai Kleczewskiej. W „Puzzlach” Iwo Vedrala – głównego bohatera Kubę oraz w spektaklu Mikołaja Grabowskiego „Czekając na Turka”, będącym prapremierą tekstu Stasiuka, rolę Patryka. Wszystkie te spektakle to była również okazja do nauki. Mogłem z bliska obserwować pracę wspaniałych aktorów i naprawdę mógłbym wymienić tu wszystkich, których nazwiska widnieją na afiszach tych przedstawień, ale dla przybliżenia mojego szczęścia alfabetycznie: Iwona Bielska, Anna Dymna, Małgorzata Hajewska, Ula Kiebzak, Sandra Korzeniak, Anna Radwan, Bogdan Brzyski, Roman Gancarczyk, Zygmunt Józefczak, Jan Peszek, Jacek Romanowski, Zbigniew Ruciński.

– Przejdźmy do filmu. Dziewięć z pana udziałem w ciągu ostatnich dwóch lat. To swoisty rekord. Jak pan daje radę tak dużo grać?

– Tadeusz Łomnicki, zapytany kiedyś przez Jana Maciejowskiego, jak on to robi, że z taką energią gra Alberto Ui przez całe przedstawienie, miał odpowiedzieć: „Przed spektak-

klem zjadam podwójnego schabowego z ziemniakami". Ja nie jem mięsa, ale idea tej odpowiedzi bardzo mi się podoba.

– Czasami gra pan także na tyle niewielkie role, że zastanawiam się, czy zdąży pan przekazać w nich coś w tak krótkim czasie.

– Rzecz w tym, że w moim życiu spotkałem wiele osób, które pojawiły się w nim tylko na chwilę, ale mam je w żywej pamięci, bo swoją obecnością, słowem czy spojrzeniem zmieniły mnie.

– Czyli nie wartościuje pan swoich ról pod względem wielkości?

– Kiedy gram epizod, wiem, że scenarzysta uznał, że w tym konkretnym momencie główny bohater musi spotkać mojego bohatera, żeby dokonała się w nim zmiana.

– Na ekrany wszedł nowy film z pana udziałem – „Planeta singli”. Jaką rolę pan w nim gra?

– Gram postać wspierającą głównego męskiego bohatera. Mój Marcel to producent i realizator telewizyjny, jedyny przyjaciel głównego bohatera, Tomka Wilczyńskiego, człowiek o dużej fantazji, uwielbiający modę, niezależny samotny trzydziestoparolatek, poszukujący miłości. A film? Widzowie na pokazach przedpremierowych reagowali owacyjnie i nie hamowali śmiechu, a to cieszy, kiedy robi się komedie.

– Podobno każdemu reżyserowi, z którym decyduje się pan pracować, ufa pan bezgranicznie. To prawda?

– Muszę, to podstawa mojego zawodu, inaczej działałbym przeciwko sobie. Po słowie akcja moim zadaniem jest zanurzyć się w świat bohatera. Jeżeli jednocześnie miałbym być w tym momencie obserwatorem swojej gry, straciłbym znaczną część uwagi, a na to mnie nie stać, kiedy na każdą sekundę w filmie pracuje minimum stuosobowa ekipa.

– Ufa pan bez względu na to, jaki film kręci i jaką rolę w nim gra?

– Tak. Nie mam wyjścia. Taka jest istota tej relacji.

– Widziałem pana w „Disco polo”, który „pobudzał pana głowę bardziej niż poprzednie filmy”...

– W filmie mój bohater to wirtuoz syntezatora. Ja nigdy nie grałem na żadnym instrumencie klawiszowym, więc musiałem zrobić wszystko, żeby stworzyć to złudzenie i przez trzy miesiące nie rozstawałem się z nim. Moim doradcą i instruktorem była moja żona Agnieszka, która z zawodu jest aktorką, ale jednocześnie muzykiem.

– W jaki sposób przygotowywał się pan do tej brawurowej roli?

– Głównie siedząc przy instrumencie, ale również spotykając się z muzykami, podglądając ich, uczestnicząc w koncertach.

– Prywatnie lubi pan disco polo?

– Preferuję inne gatunki. W młodości słuchałem różnych odmian rocka, od punk do popmetal. To jest świat moich muzycznych sentymentów.

– To zjawisko muzyczne jest wykluczone z polskiej kultury...

– Wiem i dlatego tak ważne jest podejście, które zaprezentował Maciej Bochniak, reżyser filmu. Do udziału w filmie przekonała mnie idea, żeby nawiązać relację między fanami kina a fanami disco polo. Chcieliśmy pokazać fanom kina, że disco polo jest jedyną formą kultury, z jaką obcuje wielbiciel tego gatunku. A ludziom disco polo, że kino traktuje ich poważnie, oddając pełnię swoich możliwości technicznych i wyobraźnię na użytek spotkania z ich światem.

– Zagrał pan w bardzo poruszającym filmie o profesorze Relidze. Domyślam się, że przygotowanie roli jego asystenta dużo pana kosztowało?

– Spędziłem tydzień w klinice w Zabrzu, której szefem jest mój bohater, profesor Marian Zembala. Przyglądałem się pracy całego zespołu, w którym jest również syn profesora, Michał, świetny kardiochirurg. Słyszałem od wszystkich: chcesz wiedzieć, jaki był profesor, patrz na Michała. To było bardzo inspirujące spotkanie z odważnymi ludźmi, ale i z mocą zawodu.

– Dlaczego przestał pan być wiceprzewodniczącym Związku Artystów Scen Polskich?

– Rok pracy w zarządzie uzmysłowił mi, że na razie nie ma warunków na realizację planu, który zakładałem, zgłaszając swoją kandydaturę do władz związku.

– Jest pan laureatem Nagrody im. Zbigniewa Cybulskiego. Intrygowala pana postać tego kultowego aktora?

– Byłem trzykrotnie nominowany do tej nagrody, a otrzymałem ją w 2013 roku. Wychowałem się na polskich filmach. Moje dzieciństwo i dojrzewanie przypada na lata 80.

i 90. Pierwsze dziesięć lat spędziłem na wsi, następne dziesięć w Toruniu. Kina były wtedy w zapaści. Z filmem stykałem się więc głównie przez telewizję. Telewizja dała mi nadprzeciętną znajomość polskiej sztuki filmowej, a nie ma tej sztuki bez Zbyszka Cybulskiego. Znam większość jego ról. Znałem je lepiej niż role Jamesa Deana. On zarażał nas z ekranu swoją wolnością.

– Lista pana nagród jest pokaźna. Która ma szczególne znaczenie?

– Każda z nich jest dla mnie równie istotna. Kryje się za nimi uwaga wielu osób. Ta uwaga dodawała mi energii na różnych etapach życia, do podążania drogą, którą sobie wybrałem. Tak jak każda z ról jest dla mnie szczególnie ważna, tak w przypadku nagród, też nie jestem w stanie wybrać jednej najważniejszej.

– Jak pan reaguje, gdy czyta o sobie, że jest „odkryciem roku”?

– Ciekawe zagadnienie... Może oznaczać, że gdzieś mnie jeszcze nie było. Oznacza też, że mam szansę spotkać się z większą liczbą osób. Radość tworzenia przeradza się w radość spotkania z widzami.

– Ma pan opinię bardzo pozytywnego człowieka.

– Pozostaje mi tylko cieszyć się, że tak jestem odbierany.

– Jakie znaczenie dla rozwoju pana osobowości ma fakt, że dzieciństwo spędził pan w małej wiosce Redecz Wielki koło Lubrańca?

– Nieprzecenione znaczenie. Mała miejscowość powoduje, że świat widzi się po horyzont i jest szansa na nawiązanie kontaktu z każdą osobą, która pojawi się w zasięgu wzroku. Taka miejscowość pozwala na rozwijanie umiejętności komunikacji międzyludzkiej i poczucie ugruntowania, realności, co jest bardzo istotne w zawodzie aktora.

– Czy w pana rodzinie ktoś był aktorem?

– Nie. Moja mama była nauczycielką i przez pewien czas moją wycho-

wawczynią. Ojciec był instruktorem jazdy i kierowcą. Jestem jedynakiem.

– Po kim więc predyspozycje do aktorskiego zawodu?

– Każdy z nas jest aktorem. Predyspozycje ma każdy, pozostaje tylko dylemat, czy odnajdzie radość w ich realizacji na scenie lub planie filmowym. W dzieciństwie, co pamiętam bardziej z opowieści świadków, podczas uroczystości rodzinnych zawsze był moment na mój występ, na wierszyki, deklamacje. Z kuzynami i koleżankami wystawialiśmy spektakle. Wtedy na zasadzie zabawy. Później myślałem o tym zawodzie, że jest to rodzaj bycia hiperczłowiekiem, nie w znaczeniu superbohatera, tylko kogoś, kto doświadcza skrajnych wariantów człowieczeństwa. Teraz zauważam, że wszyscy gramy mnóstwo ról. Aktor tylko pogłębia te naturalne praktyki bycia kimś innym.

– Dzisiaj dzieli pan czas na kilka miast. Czy przejście do dużego miasta z małej wioski było trudne?

– Nie, bo u mnie odbywało się to stopniowo, więc miałem szansę stopniowo dostosowywać się do nowej rzeczywistości i poznawać zwyczaje ludzi z coraz większych miejscowości.

– Kiedy zauważył pan, że przeszedł do świata odpowiedzialności za swoje myśli, słowa i działania?

– Praktykowałem to już, mając 13 – 14 lat, ale nazywanie tego, czyli świadomość procesu i umiejętność ułożenia tego w zdanie, które może być narzędziem do lepszego działania, pojawiły się wraz z lekturą dobrych wiadomości – Ewangelii. A te zacząłem zgłębiać w wieku 30 lat.

– Jak długo szukał pan swojego miejsca?

– Nigdy go nie szukałem. Staram się podążać za możliwościami, które daje mi rzeczywistość.

– Pan to miejsce już znalazł?

– Na razie jest nim Ziemia.

**Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI**